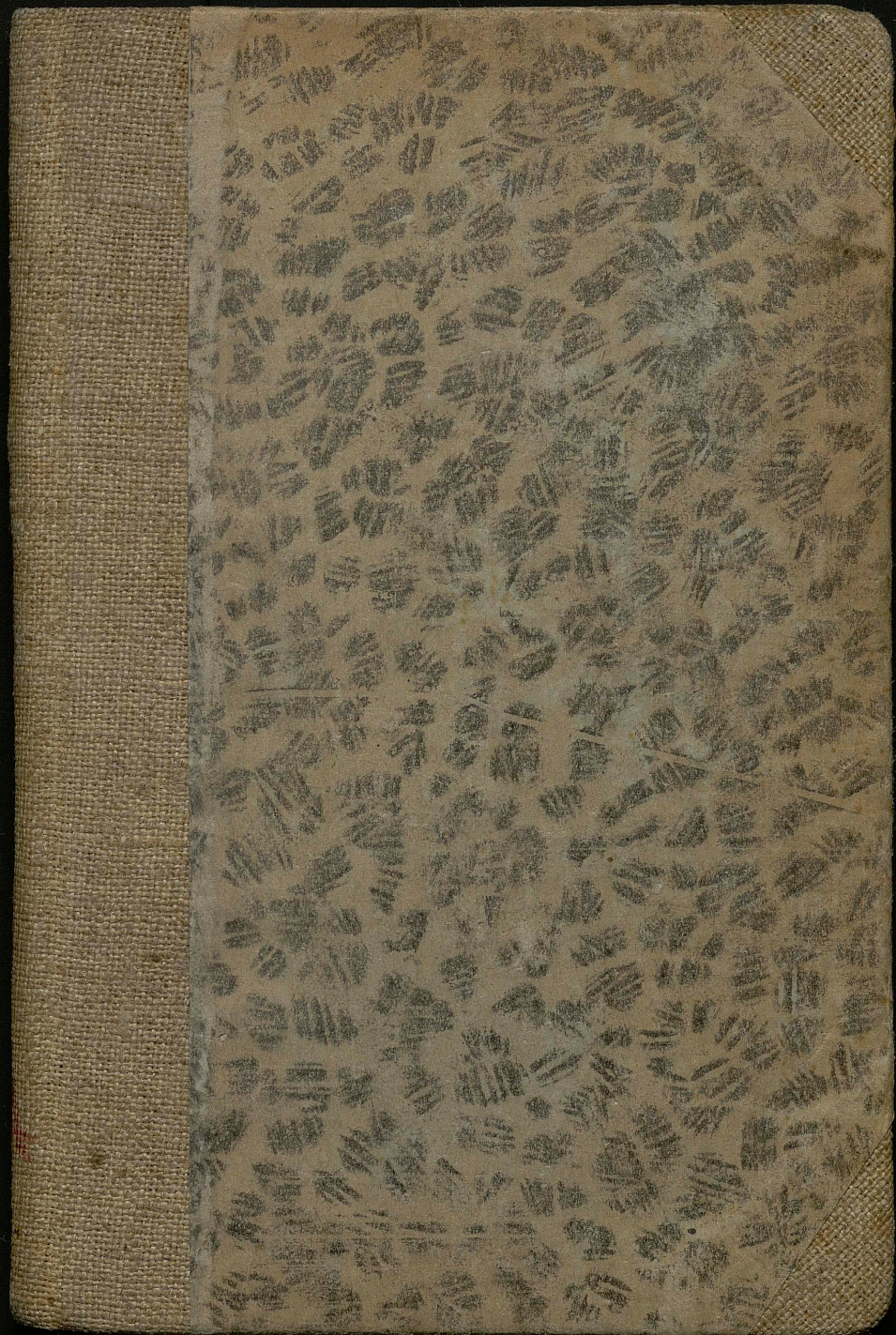
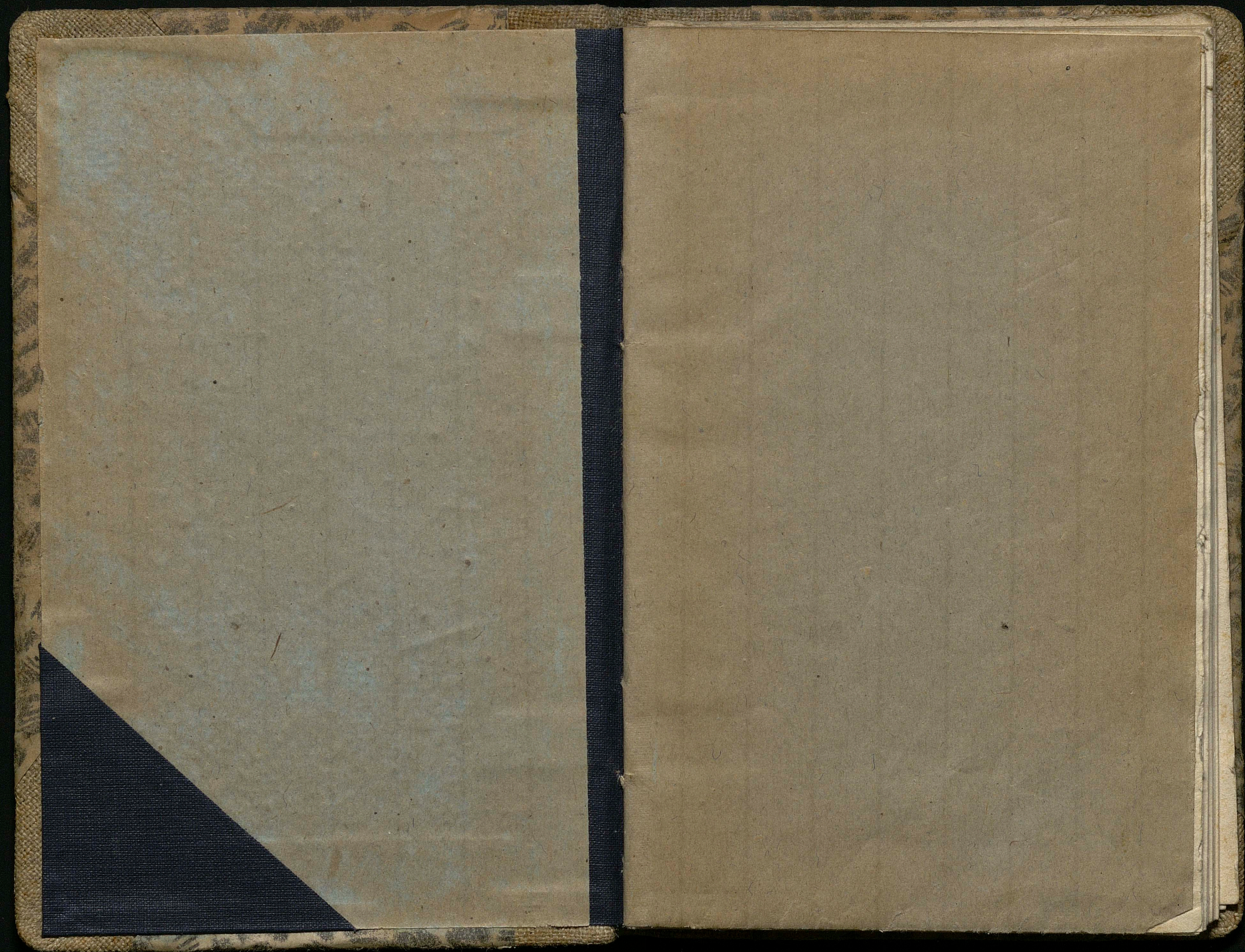






ŻYWOTY DRZEW

Dp
10000

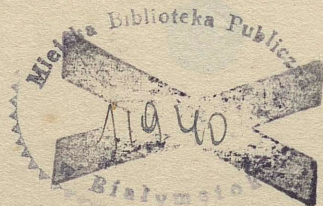
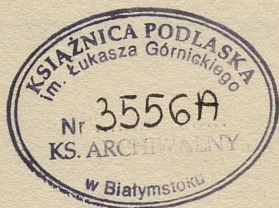
JULIAN EJSMOND

ŻYWOTY DRZEW

(DRUGA KSIĘGA „W PUSZCZY”)



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



884-93 III 74
1/2

821,162,1-92

III
1/2

DZIEJE DĘBU

Druk J. Rajskego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

1929

D.
26/6.46w

Był jeszcze młody. Liczył dopiero pięćset lat. Co wiosna stawał w złocistej łunie młodych listków. Co jesień przybierał dostojną barwę starego bronzu. Wieki mijały dla niego, jak słoneczne dni, lata przelatywały nad nim, jak szybkie ptaki, migały dnie, jak polotne motyle...

Urodzony w sercu dziewiczej puszczy pochwycił szumny i dumny ton jej odwiecznej pieśni, a gdy dawna puszcza poległa pod ludzkim toporem — zachował ten szum królewski w swojej wyniosłej koronie i śpiewał ziemi i niebu o radościach wolnej kniei, niepokalanej złą stopą człowieka.

Jeślibyś stanął pod nim i przymknął oczy — zdawałoby ci się, że szumi nad tobą cała puszcza, dawno zrąbana. A to tylko głos umarłej puszczy przetrwał w poszumie wiernego drzewa.

Przychodziły ongi w letnie spiekoty do rzeki, która płynęła u jego stóp, żubry-odyńce o krwawych ślepiach i zbałwanionej, czarnej kądzieli, łosie rosochate i kudłate niedźwiedzie, spragnione zimnej kąpieli. Zginęły dawno — przed wiekami — i żubry, i niedźwiedzie, i łosie... I rzeki już niema. A on przetrwał i szumi. W swojej szumnej pieśni zachował śpiew ogromnej rzeki. Zachował jej wiosenną, wzburzoną, oszalałą pieśń, wśród zalanych kwiecistych wybrzeży i jej letnie szemranie ciche, omdlałe. Jeżeli staniesz pod jego koroną i zamkniesz oczy, zda ci się, że to szumi rzeka, której już niema... A to tylko dusza umarłej rzeki trwa i śpiewa w żyjącem drzewie...

*

Przylatywały wiosny, jak ptaki zielone, i siadały na jego konarach. Przylatywały jesienie, jak złote ptaki. Widział pięćset wiosen i pięćset jesieni. I pięćset razy biała zima otulała go roziskrzonym w słońcu płaszczem.

Nie obaliły go burze letnie, ani śnieżne wichury, ani szalejące jesienią huragany.

Była w nim radość tysiąca ptasich pokoleń, które przyszły na świat w jego bujnej koronie i w jego zacisznych dziuplach. Radość ta była jednym wielkim śpiewem, w którym pochwała miłości łączyła się z pochwałą gniazda.

Nie pamiętał tych rzesz uskrzydłonych, które w nim poczęły życie, bo drzewo nie ma pamięci. Ale ich wesele, ich pieśń dawno wyśpiewana, przetrwały w jego śpiewnym szeleście.

Był w nim ból tysiąca cierpień, krzyk tysiąca mordowanych istnień w oślepiającym blasku słońca i w zimnej poświacie księżyca. Nie pamiętał tych rzesz uskrzydłonych, które w nim skończyły życie, bo drzewo jest samem zapomnieniem... Ale ich ból, ich krzyk dawno przebrzmiały przetrwał w jego jęku żalonym i szum drzewa czasami płakał.

*

Był w nim głos i ludzkich spraw dawnych i nowych pełnych chwały i pełnych

żałości... A choć bujnie żył tylko słońcem i chwilą, radując się po roślinnemu zdrowem krążeniem soków i smakowitą wilgocią gleby, w nieśmiertelnej pieśni jego koronnych liści pozostało coś i z owego poszeptu świętych borów, w których przed tysiącem lat wybuchał jego pradziad i z owej radosnej fanfary myśliwskiej, gdy król pod nim spoczywał, strudzony łowami, dosłuchując się w jego szepcie echa litewskich dębów, i z owego szaleństwa ostatniej wojny, która powaliła pokotem jego rwących się ku niebu potomków.

Szum drzewa był tą skarbnicą, w którą idący czas rzucał coraz to nowe dni, smutne i promienne. Coraz to nowy dźwięk przybywał do tej odwiecznej pieśni dębu, coraz to nowy ton wzbogacał mowę drzewa...

*

Ale jeden smutek, dawny jak samo drzewo, towarzyszył mu wiernie przez pięćset lat: samotność. Wszystko bowiem dookoła niego mijało. Lasy ginęły i rzeki ginęły...

A gdy pokochał jakieś gniazdo lub jakiś głos ptaszczy, głos szybko milknął, ptaki leciały za morze lub umierały, i nie zostawało po nich nawet wspomnienie, bo drzewo nie umie wspominać...

I tylko jednego miał towarzysza, który, jak on, żył pięćset lat, a może więcej. Był nim wiatr daleki, podróżnik niestrudzony, kochanek obłoków i młodych borów, który w puszczy stawał się nieśmiały i jakgdyby zatrwożony...

Gdy po raz pierwszy pąkami wytrysnęły złociście dębowe gałęzie o jakiejś dawno zapomnianej wiosnie, zagubionej w błękicie czasów, jak we mgle, wiatr, skrzydlaty wędrowiec, ptak nieśmiertelny, igrał z młodem gałązkami i liśćmi, pieścił wątłą drzewinę, uczył ją pierwszych słów szumu i szeptu... A gdy dąb wybuchał ku górze, wicher umiłował jego koronę ponad inne drzewa...

*

I nadszedł wreszcie dzień, gdy zły człowiek, niszczący wszystko, co piękne,

i wszystko, co wielkie, zrąbać kazał stary dąb, który mu zaciemniał widok na miasto...

To, czego nie śmiały zrobić wieki ani burze, tracące zwykłą odwagę wobec dumnej mocy drzewa, uczynił słaby i tchórzliwy twór, nazywający się panem stworzenia.

Padł ścięty olbrzym na złote posłanie jesiennych traw z szumem śmiertelnym, ostatnim...

*

Kiedy nazajutrz zbudził się dzień, wierny wiatr przyleciał zdaleka i zobaczył obalony dąb. Nie mógł zrozumieć, co się stało.

Wreszcie pojął wszystko i poleciał tam, gdzie jeszcze nie rąbią drzew, by zobaczyć miasto, tam, gdzie jeszcze rosną wolne puszcze, w których wolne wichry mogą śpiewać.

I poniósł z sobą mowę drzewa, które umarło. Poniósł z sobą mowę, w której był szum wyciętych puszczy i śpiew rzeki, której już nie ma, i głos ptaków, które umarły, i duszę drzewa, które zrabano...

Ale wiatr nie umrze nigdy. I dlatego nigdy nie umrze szumiąca dusza drzewa.

TAJEMNICA LIPY

Od lipy czarnoleskiej poczynając, prababki i babki jej nęciły w swój wonny cień w letnie upały szukających natchnienia poetów, zmęczone ptaki, tęskniących do miłości kochanków i pszczoły, zbierające miód.

Była jedynem drzewem, które ma serce, które ma dużo serc. Tyle — ile liści. Bo każdy jej liść jest kochającym sercem, a każdy jej kwiat jest samą słodyczą.

Szeroko otworzyła ramiona całemu światu i cały świat zapraszała po czarnolesku:

„Gościu! siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie“.

Jej cień w najpłomienniejsze upały był chłodny, jak zimna woda, i, jak czysta źródłana woda, kojący. Jej kwiat łączył w sobie gorące złoto słońca i pachnące złoto miodu.

Dlatego też kochali ją poeci, ptaki, kochankowie i pszczoły.

Poeci tworzyli w lipowym cieniu uśmiechnięte wiersze, ptaki śpiewały piosenki radosne, pszczoły ze śpiewnym brzękiem zbierały słodki miód, a kochankowie słodsze od miodu pocałunki.

A każdy wiersz pod lipą urodzony miał w swoim brzmieniu coś z odurzającego zapachu jej kwiatu i coś z melodyjnego brzęku jej pszczoł.

I każdy pocałunek miał w sobie też coś z miodu. Stanowiło to najczarowniejszą z jej tajemnic.

*

Lipiec był jej miodowym miesiącem. W lipcu pszczoły zbierały z niej wszystką słodycz na cały rok. W lipcu poeci pisali w jej cieniu najpiękniejsze wiersze. W lipcu ptaki śpiewały wśród jej gałęzi, pochylonych od bezmiaru kwiecia, najczarowniejsze piosenki. W upalnym lipcu łączyła w gorącej pieszczocie serca i usta kochanków przy księżycu, który miał też kolor miodu...

A potem przez cały długi rok, który nie był lipcem, miód ten żył w ulach pszcze-lich, w wierszach poetów i w sercach kochanków. I to była druga jej tajemnica.

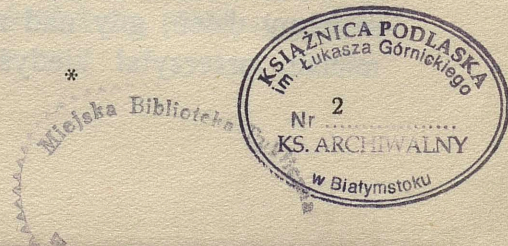
*

Młody chłopiec, o którym będzie mowa w tej opowieści, znał ją od maleńkiego dziecka... W jej ogromnym cieniu uczył się stawiać pierwsze kroki i szczebiotać pierwsze wyrazy. I śmiał się wtedy do niej uradowany dzidzius i wyciągał niezdarne rączyny do pachnącego, wielkiego drzewa. A ono uśmiechało się do niego złotem swego pachnącego kwiecia i pieściło go miodowym zapachem i brzękiem pszczoł...

A gdy bobus zmęczony zabawą, zdyszany, zaróżowiony, wracał wreszcie do swego malutkiego wózeczka i słodko usypiał — spał pod opieką niani i lipy.... Do snu kołysało go brzęczenie owadów w koronie drzewa i cichy szelest liści... I śniła mu się lipa, pszczoły, słońce i miód koloru słońca...

*

Żywoty drzew.



Pod cieniem lipy wzrastał, pod jej konarami bawił się piłką, dokoła jej rozrosłego pnia gonił się z innymi dziećmi.

A potem pod starą lipą uczyć się począł i pisać pierwsze słowa. I jednym z najpierwszych słów, które niewprawnymi literkami wypisywał z lubością i miłością, było słowo: lipa.

A jeszcze potem — już jako uczeń — kuł w cieniu lipowym łacińskie słówka:

„Amo, amavi, amatum, amare...”

Gdy zaś zapomniał którejs z form, lekki wiaterek budził się i szemrał cichutko w gałęziach. I podpowiadał mu, jak uczeń podpowiada innemu uczniakowi:

„Amare...”

Poczem przekładał to na język polski:

„Kochać...”

Ale mały uczeń nie rozumiał wtedy jeszcze tego słówka...

*

W cieniu dobrego drzewa w lipowy skwarny dzień, gdy nad ziemią latały płomienie, przeczytał kiedyś czarującą opo-

wieść o staruszkach frygijskich Filemonie i Baucis, zamienionych po śmierci w drzewa...

On za życia opiekował się pszczołami, ona karmiła świnie — a po śmierci on, jako dąb, świnie żywił, a ona, jako lipa, pszczoły...

Sprawili to przez wdzięczność za ich gościnne przyjęcie bogowie Jowisz i Merkury.

Chłopiec nie zazdrościł Filemonowi: żywienie świń ani za życia, ani po śmierci nie należy do miłych zajęć. Poeci, którzy tak często rzucają perły przed wieprze, mogliby coś o tem powiedzieć. Ale karmienie pszczoł miodem swoich kwiatów było piękne i chłopiec odtąd w szepcie swego kochanego drzewa słyszał tajemniczy pogłos frygijskiej legendy...

*

Lipa była jego przyjaciółką i powiernicą. Z każdym smutkiem dziecięcym, z każdą troską chłopięcą biegł pod jej pocziwe konary i skarżył się, i żalił, i pytał, co czynić należy.

Ona zaś łagodnie szeptała mu swoje słodkie rady, dawała tklive napomnienia, koiła smutki, osuszała łzy.

Sam jej zapach czarowny był takim balsamem, który leczy wszelką żalność. Sam jej zimny, lodowaty cień, od którego biła świeżość, jak od chłodnej rzeki, był takim lekiem, który koi wszelkie zmęczenie...

*

Aż dnia pewnego nastąpiło coś, co miało na wieki już związać duszę chłopca z ukochanym drzewem.

Oto stało się, iż kiedyś w lipcowym cieniu począł czytać miodem pachnące wiersze Jana z Czarnolasu:

„Gościu! siądź pod mym liściem, a odpoczni
[sobie...

Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja
[tobie,

choć się nawyżej wzbije...“ —

mówił dawno umarły poeta, a lipa dopowiadała:

„Tu zawždy chłodne wiatry z pola
[zawiewają...

I znów Jan się odzywał:
„Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie
[narzekają“.

A na to lipa:
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
biorą miód, który potem szlachci pańskie
[stoły,
a ja swym cichym szeptem sprawić umiem
[snadnie,
że człowiekowi łącznie słodki sen przypadnie...“

Więc młody chłopiec wołał w zachwycie uśmiechniętymi słowami Kochanowskiego:

„Tu zachodny wiatr powiewa,
tu słowik przyjemnie śpiewa...“

A lipa serdecznie odpowiadała mu brzękiem pszczół:

„Gościu! jeśli sprawą mego cienia
uchodzisz gorącego letnich dni promienia,
ani mię zato winem, ani pój oliwą —
bujne drzewa nalepiej dżdżem niebieskim
[żywą!
Ale mię raczej daruj rymem pochwalonym...“

I tak długo rozmawiali ze sobą ci troje: poeta, który umarł, ale był nieśmiertelny, poeta, który nie był jeszcze nieśmiertelny, ale nie umarł, i drzewo dające natchnienie ludziom, jak miód pszczołom.

*

Aż dnia pewnego młodzieniec przyszedł w lipowy cień z wierszami brzęcącymi obco. Może lipa czarnoleska zrozumiałaby pieszczony dźwięki rzymskiej mowy. Nie rozumiała ich jednak nasza lipa.

Wiersze były pełne miodu, przeto i nasza lipa zrozumieć je zapragnęła.

Więc zapytała: „Co to znaczy?”

Przetłumaczył jej:

„Wietrze, jeśli ty rozumiesz
miłosne cierpienia,
ponieś namilszej dziewczce
moje łzawe pienia...”

I odtąd tłumaczył jej wiersz po wierszu, słowo po słowie, łacińskie pieśni Jana z Czarnolasu — a ona słuchała w zachwycie.

I kwietne słodczyne mowy rzymskiej przetapiał w złoty, polski miód. Za lipy pachnącej namową.

Pod lipą, w której cieniu kuł ongi: „amo, amavi, amatum, amare...” poznał i polski przekład tego słówka. Zrozumiał wówczas, że miłość jest jak pszczoła, która daje słodki miód, wonniejszy nad wszystko inne, ale czasem umie boleśnie ukłuć...

*

A kiedy z młodego chłopca stał się już dorosłym człowiekiem, pisał potem pod lipą te słowa:

„Wszystko, co było w mych pieśniach,
w drzew narodziło się śpiewie.
Nadzieja we mnie żyła,
jak liść zielony na drzewie...”

Lipa zaś wtórzyła twierdząco:

„Jak liść zielony...”

Więc poeta mówił dalej:

„Ku niebu wznosiłem czoło,
Oczy miałem w słońce wpatrzone...”

Lipa podchwytywała watek wiersza
i śpiewała szeptem liści:

„Jak drzewo, które w błękity
dźwiga dumnie radosną koronę...”

Poeta wołał:

„Z ziemi, rodzinnej ziemi
czerpałem me całe natchnienie...”

A lipa odpowiadała:

„Jak drzewo, co w serce tej ziemi
zapuszcza stęsknione korzenie...”

Noc już była. Księżyc ogromny wytoczył się na niebo i słuchał. Drzewo odpowiadało poecie rymy — rzucało mu wyrazy brzęczące, jak pszczoły, słowa pachnące, jak miód... A on pisał w natchnieniu to, co mu mówiło drzewo.

I gdyby go spytano, skąd nań spływa natchnienie — nie umiałby dać odpowiedzi.

Rzekłby może, iż płynie ono z gwiazd, zapalających się w mroku nieba, albo jak mgła wstaje z wieczornej ziemi, albo promienieje z bladej tarczy księżyca...

A tu natchnieniem było samo drzewo!

Każdy wiersz szeptało ono najpierw swojemi liśćmi, do serc podobnemi — prosto w serce poety.

*

Miłość ku lipie nauczyła go kochać wszystkie drzewa. Kochał więc choinki za to, że dzieciom dają radość, kochał dęby za ich dumę i królewską niepożytość, sosny za nieśmiertelną zieloność, brzozy za dziewczęcy wdzięk, olchy za ich wzniesione ku niebu ramiona, wierzby za to, że nie znały śmierci i odradzały się z najmniejszej nawet gałązki. Kochał wszystkie drzewa.

Lipa doradziła mu, aby spisał ich żywoty. Więc kiedyś w pogodny dzień siadł pod rozłożystą koroną dobrego drzewa, jak zawsze, i począł pisać:

„Od lipy czarnoleskiej poczynając, prababki i babki jej nęciły w swój wonny cień w letnie upały szukających natchnienia poetów, zmęczone ptaki, tęskniących do miłości kochanków...”

„I pszczoły, zbierające miód...” — dodała lipa.

A on pisał dalej:

„Była jedynem drzewem, które ma serce...”

„Które ma dużo serc...” — poprawiła lipa — tyle — ile liści...”

„Bo każdy jej liść jest kochającym sercem, a każdy jej kwiat jest samą słodyczą” — pisał poeta... — „Szeroko otworzyła ramiona całemu światu i cały świat zapraszała po czarnolesku...”

A lipa szepnęła:

„Gościu! siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie...”

Więc siedział — tworzył — i „pod jej liściem” odpoczywał...

ŚMIERĆ CHOINKI

Zawsze była zielona. Nawet wówczas, gdy inne drzewa traciły liść i radość. Nawet zimą, która otula całą ziemię śmiertelną białością.

Gniewało to mróz i wicher. Walczyły z choiną tem zacieklej. Staraly się przynieść ją ciężarem śniegu, przygiąć do ziemi i złamać. Ale śnieg, który giął z łatwością czuby brzoźek, bezsilny był wobec choinki. Kładł się wielkimi i miękkimi płatami na jej ciemnozielonych gałęziach, lecz każdy silniejszy podmuch wiatru strącał te płaty, które spływały ku ziemi, jak białe, puszyste ptaki.

Wiosną zapalały się na choince jasnozielone świeczki nowych pędów, śliczne i radosne. Ptactwo wśród jej zwartych gałęzi wilo sobie bezpieczne i przytulne gniazda i wychowywało w spokoju nowe śpiewające pokolenia.

A gdy nastało lato i czas wielkich burz, pioruny — tak bezlitosne wobec wielkości dębów, topól czy mrocznych sosen — nie tykały smukłej choiny. Może była dla nich zbyt mała i zbyt bliska ziemi, a może wdzięczna postać drzewa zmięczyła nawet twarde, lecz złote serca piorunów.

*

Ale dzieje naszej choinki nie składały się z samych radości, tak zresztą, jak dzieje wszystkich drzew, w których szumie ludzie mogliby nieraz słyszeć łzy, gdyby ludzie słuchać umieli.

*

Po długiej i surowej zimie przyszła wiosna nagła i dziwnie gorąca. Świat здаwał się tajać w oczach, jak kochające serce.

Ledwie strumienie leśne poczęły swoją srebrną pieśń, a już zbudziły się dokoła ptaszące śpiewania, terkotania i świegoty, szczebioty i kwilenia, gwizdania, kłaskania, pokrzyki...

W choince zatętniły szybciej i goręcej młode soki, które są tem dla drzewa, czem

kwę dla budzącego się do wiosennej radości zwierzęcia...

Do starego gniazdka, ukrytego tuż nad ziemią wśród choinkowych gałęzi, powróciła para drozdów, jak co roku, i stara piosenka budziła teraz znów drzewo co rano, przed świtem, wówczas, gdy cały las jeszcze spał głęboko...

Gniazdko zostało szybko naprawione i wysłane miękko świeżym mchem i lekkim puchem. W jego ciepłym wnętrzu zasiadła na modrych jajeczkach samiczka drozda. A potem w gęstwie gałęzi zadźwięczał głosik pisklęcy...

I była tak wielka szczęśliwość w pachnącym cieniu wiosennej choiny, jakgdyby zawsze miała być w lesie wiosna i jakby po wonnych gęstwinach nie błądził żaden drapieżnik, łaknący świeżej ptaszącej krwi...

Ale malutka, śliczna łasiczka, ruda, zwinna morderczyni, ofiar nigdy niesyta, dobrała się kiedyś do cichego gniazdka, wymordowała drozdy i wychłęptała żarłocznie ich gorącą kwę.

A potem mrówki, które u stóp choinki miały swój kopiec, usypany z igieł i ziemi, oczyściły z ptaszęcych trupów wymarłe gniazdko.

To była jedna z tych wielu spraw, które dzieją się w gęstwie drzew codziennie.

Drzewa nie mają serc, więc nie opłakują swoich mieszkańców. Lecz drzewa mają głos na wietrze i w tym szumiącym głosie braknie potem małych głosików tych, co zginęli.

*

I byłyby to sprawy smutne, gdyby nie to, że w opuszczonych gniazdach nowe ptaki zakładają swoje osiedla rodzinne i na gałęziach, gdzie brzmiał śpiew tych, co umarli, rozbrzmiewa potem śpiew tych, co żyją.

A gałąź beztroska i pachnąca kołysze się pod śpiewakiem radośnie, jak zielona kolebka... Ale drzewo nie jest beztroskie, nawet takie drzewo, które i zimą nie traci zieleni.

*

Przyszło lato. W upalne godziny, gdy las cały omdlewał od żaru, dokoła choinki był zawsze rozkoszny i chłodny cień.

Małe zdarzenia — wesela i smutki — miały koło niej bezustannie.

To lekkoskrzydła libella, w promieniach słońca brylantowa i lśniąca, zasiadła na choinkowej gałęzi, jak żywy klejnot gęstwiny, a przelotny ptak, śpiewak wdzięczny, pochwycił ją mimochodem i połknął, jakby odniechcenia.

Było to dla choinki i dla ptaszka małe zdarzenie, ale dla libelli było ono zdarzeniem wielkiem.

To znów kołujący pod błękitami jastrząb runął uskrzydłym piorunem na ćwierkające ptaszętko, które jednak w ostatniej chwili zdołało ukryć się i wtulić w choinkowy gąszcz i ująć przed szponami drapieżcy, który przecież musiał, musiał zanieść ciepłe, trzepocące się mięso ptaszące swoim zgłodniałym dzieciom.

Było to dla ptaka radosne zdarzenie, ale dla piskląt jastrzębia było to zdarzenie smutne.

Lecz choinka nie cieszyła się tem, ani nie smuciła, bo była drzewem, które nie płacze, nie śmieje się, lecz żyje bujnem życiem roślinnem, deszczem, wiatrem i słońcem.

Nie mówi — ale szumi, nie myśli — ale rośnie. Rośnie każdego dnia, każdej godziny, każdej chwili, w pogody i niepogody, na wietrze i na deszczu, i na słońcu.

„Jest najpiękniejsza ze wszystkich drzew“ — myślały o niej zwierzęta leśne, które wolą myśleć, niż mówić.

„Jest najpiękniejsza ze wszystkich drzew“ — mówili o niej ludzie, którzy wolą mówić, niż myśleć.

A ona istotnie była coraz to piękniejsza.

I tak, jak tych, którzy są mocni, gubi nieraz ich moc, tak ją — piękną — zgubiła jej uroda.

*

Minęła jesień złocąca liście, przyszła zima nagła i niespodziewana, jak nagła i niespodziewana była roku tego wiosna.

Była groźna, lecz piękna; zimna i surowa — lecz uśmiechnięta.

Osypała choinkę puchem śnieżnym i rozpałała na tych śnieżnych płatkach tysiące iskier słonecznych złotych, błękitnych i różowych.

I usypała wkoło zielonego drzewka zasy niepokalanej białości.

Dokoła choiny snuć się poczęły i dźiać sprawy zimowe, których bieg znaczył tropem swym leśny zwierz.

Ponowa pełna była pętli zajęczych i lisich sznurów, podobnych zdala do różańca blade-niebieskich paciorków.

Choina bliska była teraz znowu tych zdarzeń codziennych, smutnych lub radosnych dla innych, obojętnych dla niej.

*

Aż dnia pewnego w słoneczny poranek grudniowy stało się to, co musiało się stać, jeżeli drzewa, tak jak ludzie, mają swoje przeznaczenie.

Zajechali ludzie do lasu, zajechali z toporami, z wozami, rąbać w borze najpiękniejsze choinki.

To nie biją w pnie drzewne dzieciół
w pełen słońca grudniowy ranek! To
w pnie drzewne uderzają topory.

To nie walą się zmurszałe wywroty,
przesłonięte całunami śniegu, wsparte na
konarach umarłych, jak na trupich piszcze-
lach! To padają najpiękniejsze choiny, naj-
piękniejsze, najbujniejsze choiny uderzone
śmiertelnie toporem.

To nie wichur strząsnął z naszej choin-
ki brylantowe, iskrzące się szrony, gasząc
ogień różnokolorowe! To śmiertelny upadek
pod obuchem topora zwałił najpiękniejszą
z choinek.

*

I powieźli ją ludzie daleko do wielkie-
go, gwarne miasta. Do miasta, gdzie
tłumy szumią zamiast drzew. Z choinkami
ją powieźli innemi.

I po różnych przygodach w tem mie-
ście, zawieziono ją do domu wielkiego,
ustrojono barwnymi kulami, obwieszono ła-
kociami słodkimi, otoczono girlandami naj-
różniejszych kolorów, zasypano przedzą nici
złocistą i srebrną.

A u stóp jej złożono podarki.

Kiedy przyszła godzina radosna i na
niebie za oknami zapaliła się pierwsza
gwiazdka, na choince zapalono świeczki.

Do pokoju z głośnym śmiechem, z okrzy-
kami wesela wpadły dzieci — i stanęły
zdumione.

I zagasły jasne blaski świeczek i róż-
nokolorowe świecidła, i lśnienia przedży
złotej, wobec błysku radości w dziecięcych
oczkach, gdy te oczki ujrzwały choinkę.

Bo czyż jest na całym wielkim świecie
coś, co przy światłości dziecięcego spojrzenia
może się jeszcze wydawać światłością?

Samo słońce miało może równie pro-
mienne blaski, ale to wówczas, kiedy było
jeszcze dzieckiem.

*

Dokoła umierającej choinki rozebrzmiał
srebrny śmiech dzieci.

I pomyślała przed śmiercią — o ile
drzewo myśleć może — :

„Warto jest oddać całą leśną szczęśli-
wość, wszystkie wschody i zachody w bo-

rze, młode pędy wiosenne, złote szyszki
jesienne i zimowe czarodziejstwo szronu za
jeden błysk tych roześmianych ślepeczek
dzieciących...”

„POD UMÓWIONYM JAWOREM...”

Kiedy „księżyc już wzeszedł“ i „psy się uśpiły“ — jak mówi stara piosenka — nie klaskało za borem — wbrew słowom tej piosenki — i pod jaworem, o którym będzie mowa w tej opowieści, nie czekał żaden „Filon miły...“

Jawor ów wyrósł na skraju dzikiej puszczy Karpackiej, naprzekór wyjącom wichrom, prosto i dumnie, tam, gdzie każde inne drzewo uległoby dawno huraganom, pochyliło się lub padło zgruchotane.

Dokoła niego wznosiły się strzeliste kolumny drzewne bez koron, o utraconym wierzchołku... Rozrosłe korzenie wyszarpane z jelit ziemi, podobne do potwornych węzowisk... Pnie szerokie, zbutwiałe, rozmokłe od wilgoci, porośłe mchem, bujną paprocią i ożyną.

Wybuchał w pierwotnej kniei górskiej, gdzie „pod umówionym jaworem“ błądził — zamiast Filona i Laury — kudłaty niedźwiedź, jeleni niedościgły, mądry wilk lub krwiożerczy ryś, w porze, gdy „księżyc już wzeszedł“ i tam w dole, za mgłą, po góralskich wsiach „psy się uśpiły...”

I rósł naprzekór sentymentalnej pio-sence i naprzekór dziecięcej śpiewce:

„Jawor, jawor, jaworowe ludzie!
Co wy tu robicie?
Budujemy mosty
dla pana starosty...”

W głuszy bowiem dzikiej, kędy się wznosił, nie było ludzi nawet jaworowych, mostów nikt nie budował, a pan starosta bacznie omijać kazał woźnicy te nieliczne, które w powiecie z dawnych czasów pozostały...

*

Zamiast tkliwych słów pasterskiej mi-łości, zamiast dźwięku pocałunków i szeptu czułych wyznań, mroczny jawor słyszał je-dynie dokoła siebie wycie wichury, szum

potoku rwącego w przepaść, gniewny ryk niedźwiedzia albo gromu i podobny do przeciągłego grzmotu pojęk zakochanego jelenia.

Pierwszy z tych głosów był samą roz-paczą, drugi — tęsknotą, trzeci — wściekło-ścią, czwarty zaś, choć głosił kochanie, pe-łen był śmierci...

Rozpacz, tęsknota, gniew i groźna mi-łość spotykały się w jesienne zimne wie-czory w blasku gwiazd, w mroku Karpac-kiej puszczy, „pod umówionym jaworem“.

Wicher daremnie szalał, chcąc przeła-mać lub zgiąć śmigły i przedziwnie proste pień drzewa: rozpacz była bezsilna wobec jaworu.

Potok daremnie rzucał się w otchłanie, chcąc pociągnąć za sobą ogromne drzewo ku radosnym, pełnym słońca dolinom: tęsk-nota była bezsilna wobec jaworu.

Niedźwiedź próżno darł w furji gładką korę drzewa i kasał pień, gdy schwytyany w wilcze żelaza usiłował uwolnić się z ich okrutnych szczęk, lub kiedy dogorywał zraniony strzałem kłusownika. Piorun, dra-

pieznik chmur, daremnie ostrzył na bujne drzewo swoje złote pazury: gniew był bezsilny wobec jaworu.

I groźna miłość też straciła nad nim wszelką moc, choć jej echa rozgłosne w rykach jelenich przewalały się od gór do gór, od roztoki do roztoki i od przepaści do przepaści...

Jelenie-byki głośiły miłość, walczyły ze sobą i ginęły w tych walkach... Łagodnie łanie, o które toczył się śmiertelny bój, żerowały beztrosko i wesoło, ciesząc się świeżą zielenią traw... A dumne drzewo patrzyło spokojnie, jak Filon o bujnym wieńcu coraz to innej Laurze dawał swoją dziką miłość w jego mrocznym cieniu na stratowanej, zrytej raciami ziemi, na rudem „tłokowisku...“ Dumne drzewo nieraz widziało, jak na zbryzganym krwią mchu, w górskim mateczniku, dogorywały splątane wieńcami wspaniałe byki, połączone na wieki nienawiścią...

Ludzie docierali do tych szczytów jedynie jako drwale lub myśliwi. Bo i pocóż człowiek mógł dążyć ku niebu, jak

nie poto, by zabić drzewo albo dzikiego zwierza?

Wśród szaleństwa żywiołów, bólu zwierząt i złości ludzkiej jawor nie znał szaleństwa, bo nie był żywiołem, nie znał bólu — bo nie był zwierzęciem, i nie znał podłości — bo nie był człowiekiem.

*

Słońce wzywało go w górę: „Jaworze! nie ostaniesz się tu na skałach wśród wiecznej mgły. Patrz: tam niebo!“

A potok śpiewał: „Jaworze! nie pozostaniesz tu na górach, zawieszony w powietrzu... Patrz wdół: tam ziemia, tam rzeka, tam radość“.

Wiatr zaś szamotał jego liśćmi, bezsilny wobec nieugiętego pnia, to w prawo, to w lewo, to ku połoninom, to ku rozpadlinom...

Jawor słuchał się słońca. I dążył bujną koroną w górę — ponad mgły. Coraz wyżej. Wyrastał.

I słuchał potoku. Korzeniami przenikał głębokie pokłady ziemi. Trzymał się

niemi górskiego stoku całą swoją potęgą. Wchłaniał w siebie rzeźwość pędzącej w zieloną przepaść wody... Docierał podziemnem jestestwem coraz niżej. Potężniał.

Ale nie słuchał wichury. Pień strzelisty wznosił naprzekór jej złości prosto w górę, korony rozrosłej nie pochylał nigdy i przed nikim, rozszerzał tylko swoje rozłożyste gałęzie w prawo i w lewo, ku połoninom i ku rozpadlinom... Ogromniał.

*

I cieszyło się słońce, że potężne drzewo coraz wyżej podnosi swoją dumną głowę ponad gorejące buki i czarne jawory.

Lecz wicher gniewny był. Pragnął bowiem zwyciężyć nieugięty i nieprzełamany opór hardego pnia, tak, jak zwyciężał, pochylał i łamał tysiące i tysiące tysięcy innych drzew po górach i po dolinach.

A potok, roztrącając się i rozpryskując o kamienie, ryczał, jak ranny zwierz, zły, że nie może porwać jaworu tam, kędy płynął — ku dolinom.

Zaczęła się więc walka nieustępliwa, nieubłagana, na śmierć i życie, walka pomiędzy białopiennym, nieprzytomnym górskim strumieniem a potężnym drzewem Karpackiej puszczy, które chciało żyć. Drzewo było ogromne, rozrosłe, urągające wściekłości wichru.

Ale potok był wodą! A woda wszystkiego może dokonać swoją powolną, nieuchronną, jak los, potęgą.

Padając bezustanku, kropelka po kropelce, kropla po kropli, najtwardsze kamienie wydrąży, najobronniejsze przeszkody zwycięży, wszelkie zapory obali, przebije, zetrze w pył i zmyje, rozniesie i zatopi nieuchronnie w swej zimnej głębi...

Nie był więc groźny ryk potoku i jego dzika furja, gdy leciał wdół na złamanie karku przez głazy i obalone pnie, lecz groźna była i straszliwa powolna moc cichej wody, która nietylko brzegi rwie — jak głosi przysłowie — ale wszystko zwycięża, nawet ogień, będący największym szaleńcem świata, bo mający najpłomienniejsze serce ze wszystkich żywiołów.

Powoli, bardzo powoli, przemyślnie i ostrożnie potok, rwący w otchłań, począł podmywać korzenie jaworu.

Powoli, bardzo powoli, wytrwała woda strącała wdół grudki ziemi, kamyki, grudy ziemi, kamienie... Aż obnażyły się zdrowe korzenie drzewa, ongi głęboko w serce ziemi wrośnięte i krzepko trzymające się gleby, teraz sprężone, jak ramiona atlety w ostatecznej rozgrywce walki...

*

Góry, strzelistemi świerkami porośłe, dymiły dokoła siwą kurzawą chmur. Po roztokach pełzały mgły.

Czarno-zielona, spieniona rzeka pędzi przed siebie. Po omszałych zwałach pni i spiętrzonych kamieni rwie ku niej dziki potok stromem korytem. I szumi, i szaleje, i skacze po zbutwiałych kłodach drzew, które też kiedyś szumiały i żyły...

Do potoku spływają leśne strumyczki; prześlizgują się, jak srebrne węże, pod zmurszałymi pniami, ryją się pod czarnymi korzeniami, jak krety, ślizgają się po

kamieniach, nurkują w zieloną gęstwinę, spadają srebrzystym deszczem z puchu mchów...

Mały leśny strumyczek z gór spotyka się z rwącym potokiem „pod umówionym jaworem“.

Potok porywa ziemię z pod stóp dumnego drzewa i ciska ją w przepaść, i kasa te stopy gniewnie, jakby je pragnął wyszarpnąć z gleby, a mały strumyczek ryje się wśród wrośniętych głębiej korzeni, głaścze je, pieści, tuli, obnaża, podważa...

Woda zawsze zwycięża.

A wodzie pomaga wicher. Skoro się zerwie z zajadłem, wilczem wyciem, dociera do drzewa, wrywa ziemny pył, zmiażdża go, chwije słabiej osadzonemi grudami ziemi, targa i gryzie kamienie...

U stóp drzewa powoli otwiera się coraz zawrotniejsza przepaść. Miałki gruz oślizgłych, lecących wdół kamyków... Osy-pisko śmierci.

Ale drzewo nie upada jeszcze. Jest mocne i nieugięte, jak zawsze. Wicher nim zachwiać nie może. Potok go porwać nie

może. Trwa — choć mu z pod stóp wyrwano ziemię.

Dokoła złamane, zdruzgotane wiekiem kolosy sterczą w martwym bezruchu, jakimś cudem powstrzymane w upadku nad przepaścią... Porasta je mech zielony, siwy porost i paproć pierzasta. Są umarłe, a jednak wiszą u skraju pełnej mroku otchłani.

Jawor jest żywy: rośnie i chce rosnać jeszcze w tym mateczniku górskim długie lata. A tu szalony strumień, lecąc wdół, przez omszałe kamienie i drzewny łom, pod arkadami zwałonych kłód śpiewa rozgłośnie:

„Jaworzel! nie pozostaniesz tu na górach, zawieszony w powietrzu!”

Słowa te powtarzają szeptem źródła perliste, sączące się z mchu, jak łyżę gór.

Ale woda niezawsze przyszłość zgaduje.

*

Był mglisty dzień. Chmury ciężarne ulewą słały się w dole. Szare mgławice czepiały się stromych stoków... Lekkie

obłoki unosiły się ku wierchom, które dygotały kłębami białej pary, jak szczyty wulkanów...

A przez opary przeświecały zamglone grzbiety leśne, szaro-zielone, jakgdyby dalekie, a tak bardzo bliskie...

I to był ostatni dzień naszego drzewa.

Zerwał się wicher. Skłębił mgłę. Odleciał daleko.

Wyjrzało słońce... I oświeciło górski świat. Złote jego promienie z miłością biegły po roztokach i połoninach, witały znajome strumienie, pieściły kochane drzewa...

A wtem blask słońca padł na miejsce, gdzie rósł jawor. — I nie zobaczył drzewa...

Zatrzymany w biegu, spadający w przepaść jawor żył jeszcze... Ale już leżał, wsparty na trupach innych drzew, bezsilny i zwyciężony...

Woda obaliła go, lecz nie uniosła łupu swego ku dolinom. Umierający olbrzym pozostał wśród gór w sercu puszczy karpackiej zawieszony w powietrzu... Pomiędzy niebem a ziemią. Nad otchłanią...

A szumny potok górski dotąd śpiewa
swoją nieśmiertelną pieśń o potędze wody
i o radości dolin dalekich — „pod obalo-
nym jaworem...”

WIERZBY PŁACZĄCE

Wierzby, urągające wichrom i burzom,
wierzby, odradzające się z umarłej napozór
gałęzi, uczą, jak żadne inne drzewo, wiary
w nieśmiertelność...

Runie dąb, wydźwignięty potęgą stu-
leci, trafiony gniewnym piorunem... Runie
lipa rozłożysta, słodka opiekunka kochan-
ków i pszczół, zmieciona przez rozszalały
huragan... Wierzba nie umrze... Jest sym-
bolem życia... Podrutzgotana, zgruchotana —
zmartwychwstaje... Okaleczony szkielet wy-
kwita bujną zielenią liści... Naprzekór zło-
mu losowi!

Wie o tem stara droga wiejska, zacna,
kochana droga, która leci wdał przez pola
i wsie, daleko, aż do miasta... Z dwu stron
towarzyszą jej zawsze dwa rzędy wierzb...
Pochyle, rosochate, o zielono-srebrnych,
drobnolistnych koronach. Okaleczone, po-

tworne, rozpęknięte, patrzące oczodołami wypróchniałych dziupli na świat i jego zmienne dzieje. Odarte z kory, spękane, zniszczone przez lata i burze — wierzby płaczące... To znowu dziecięco młode kijki w koronie drobnych listeczków, podobne do małych palemek.

Niektóre z nich wyniosłe i powiewne, o lekkich śmigłych wtkach, inne — zbite w zwarty, kulisty kłęb srebrnego, gęstego liścia... Wszystkie — towarzyszki wierne wiejskiej drogi, powiernice jej radości i smutków, świadki słonecznych dni i niepogód, wiosen i zim...

Kocha je droga szeroka, droga wyboista, czy to cicho szemrzą srebrzystym drobnutkiem liściem pod tchnieniem wiatru, czy w zamarcu bezwietrznem milczą, jak urzeczone... Kocha i te wzniesione triumfalnie a niepożycie ku niebu, i te pokornie pochylone do ziemi, i te młodzieńczo bujne, i te rozpaczliwie spróchniałe — wszystkie...

Droga polna, spalona żarem letniego słońca, tysiącem kopyt skopana, tysiącem nóg zdeptana, powiewa w słońcu złotym

pyłem, jak chustą powitania, każdemu, kto przybywa, jak chustą pożegnania, każdemu, kto się oddala...

Spotykają się na niej skromne koleiny chłopskich fur i dumne, jakże podobne do nich, ślady pańskich powozów, i szerokie, ufne w swoją trwałość (jakże tu niepewne na wybojach) tropy kół samochodowych...

Droga wita radośnie każdego, kto po niej idzie... I pieści go, i podrzuca po swoich wesoło rozkołysanych wybojach, jak matka ucieszona pieści i podrzuca rozbawione dziecko...

Deszcz jeden, burza jedna zatrze zarówno wszystkie ślady: i te skromne, i te dumne... I ślady stóp człowieka, który pogardza tem, co depce... Droga zapomni wówczas o tych, których witała, i o tych, których żegnała...

Tylko o wierzbach zawsze pamięta, tylko wierzby wiecznie miłuje, bo one jej nigdy nie mijały pośpiesznie, nie witała ich nigdy i nigdy nie pożegna...

W pochmurny jesienny dzień przyjechali drogą ludzie nieznajomi zdaleka... Powitała ich tak, jak wszystkich przejezdnych: radosną chustą kurzawy... Lecz oni niegodni byli witania.

Zeskoczywszy z wozów, jęli się przekłętej pracy: poczęli rąbać wierzby.

Zadziwiła się droga — i przeraziła. Wiedziała dobrze, że rąbanie nie grozi wierzbom śmiercią. Rąbali je ludzie już nieraz. Wiedziała, że z każdej gałęzi odżyje umarłe drzewo i zazieleni się na nowo. Jak zawsze.

Ale teraz zacząć się poczęło coś groźnego, coś niezwykłego.

Żli ludzie niszczyli drzewa doszczętnie. Korzenie nawet wydzielali z ziemi...

Pomordowane wierzby płaczące rzucono na wozy i wywieziono gdzieś daleko, tam, gdzie się kończy świat, aż za miasto. A jej wiedza sięgała tylko do miasta. Dalej była już tajemnica i niewiadome.

Daremnie starała się wstrzymać ciężkie fury rozmokłą swoją ziemią, tysiącem wybojów, bagnem dołów i roztrzęsionymi

mostkami... Odjechali. Pozostał po nich tylko deszcz srebrzystych liści, jak gorzkie łzy.

*

Droga była teraz samotna. Oszalała z rozpacz! Każdemu, kto śmiał na nią stąpić, rzucała w oczy tuman żrącego kurzu, jak przekleństwo... Łagodna dawniej i gościnna, siekła teraz jesienną wichurą, jakby się wściekła! Łamała wozy i powozy, gryzła, kasała opony natrętnych samochodów, chwytła konie w oślizgłe swoje ramiona i gruchotała im nogi w upadku.

Aż posiwała z rozpaczny białym śniegiem i jakby zamarła w bólu...

*

A gdy nadeszła nowa wiosna, powrócili ludzie zdaleka i poczęli sadzić z obu jej stron dwa rzędy małych, wątłych drzewinek. Stały przy drodze drzewka owocowe stateczne, nieśmiałe, kokardą powróśla związane, ustawione równym szeregiem, karne..

Znienawidziła je odrazu. Mizerne były, słabe i nędzne, jak cieplarniane kwiaty... Byle włóczęga złamał gałąź — ginęły. Byle zając korę poobgryzał — schły. Byle słońce przygrzało — marniały. Nie to, co wierzb!

I tęskniła droga coraz żałośniej, pytając każdego przechodnia, czy nie widział płaczących wierzb, które wywieziono gdzieś za miasto, czy nie słyszał szumu ich liści tam, gdzie się znowu zielenią. Bo wierzyła, że się zielenią znowu.

Ale nikt nie rozumiał drogi i dlatego nikt jej nie odpowiedział.

Więc biegła polami przez wsie, aż do miasta. I wracała zpowrotem, nie dowiedziawszy się niczego. Aż zwątpiła, aby do niej doleciała kiedykolwiek wieść od wierzb, które kochała...

*

A wieść przyszła niespodziewanie... Szedł drogą w letni upał mały wiejski pastuszek i grał na fujarce. Na fujarce wierzbowej... I droga poznała w pieśni tej fu-

jarki głos swoich towarzyszek ukochanych, dalekich...

A fujarka pastusza śpiewała:

„Rośniemy daleko, daleko...
I liść nasz znów się zieleni
nad czarodziejską rzeką,
królową leśnych strumieni...”

Rozradowała się wierna droga na tę upragnioną wieść... Zaś fujarka wierzbowa śpiewała dalej wesoło:

„I miłujemy nad życie
jej fale oszalałe.
W ich uśmiechniętym błękanie
jest nasze szczęście całe.

Kochamy się w nurcie, co pędzi,
i w wirze, co wkoło się kręci.—
Wszystko, co kiedyś było,
zginęło w niepamięci...”

SOSNA NA WZGÓRZU

Opowieść o sośnie na wzgórzu będzie smutna, bo ledwo wybijała nad powalą leśnego sklepienia, zakochał się w niej złoty piorun miłością pełną ognia.

On — z nieba — miał ciało płomienne i rdzawe, i ona — z ziemi — miała w swym dumnym pniu, podobnym do olbrzymiej kolumny, błyski miedzi i płomienia.

On tęsknił do niej, ukryty w ciemnej chmurze; ona osłonięta była przed nim ciemną chmurą swojej bujnej korony.

Ale ona mówiła głosem szelestu drzewnego cichym i przedziwnie łagodnym, który zdawał się być samą pieśnią, on zaś wołał na nią grzmotem, od którego cały las dygotał.

*

Kochała się w tej sośnie bez pamięci i ruda baletniczka gęstwiny, wiecznie we-

soła i roztańczona wiewiórka, rozkoszna małpka polskiego lasu, i poważny lekarz drzewnych pni, pstry dzięcioł, i otulające ją siwe porosty, i zielony mech, który koronie legł u jej dumnych stóp.

Ona jednak myślała tylko o piorunie, bała się go i pożałowała jednocześnie. Kochała go już wówczas, gdy była jeszcze małą sosenką, niewidoczną w leśnym gąszczu, małą sosenką o zieleni mającej odcień niebieski. Jakby coś z błękitu nieba padło na jej młodziutką koronę. Jakby jej iglaste pędy przesiąkły tym szafirem, który był nad niemi w dni pogodne.

W parne i duszne godziny, gdy rozpalone powietrze drżało w słońcu lubieżnie, a nad ziemią omdlałą unosiły się żywe płomienie — śniła w przeczuciu idącej burzy o tym piorunie, który ją miał kiedyś olśnić i zdobyć.

Gdy zaś na niebie ukazywała się zdala czarna chmura, przez którą przelatywały krwawe dreszcze błyskawic — uczuwała lęk, dziki lęk, który ludziom jeży włosy na głowie, a ją przejmował drżeniem...

Ale piorun nie zważał na sosenkę. Szukał sięgających nieba drzew i w ich objęcia spadał z chmur rozgłośnie. I spalał je swoją płomienną pieszczotą, w której była śmierć.

*

A sosna ze smutku poczęła żółknąć. Śród jej zielonej korony tu i owdzie pojawiły się rdzawe pęki igieł...

„Nic dziwnego — mówiła wiewiórka, gniewnie cmokając — ciągle siedzisz, smutna sosno, na jednym miejscu — to z braku ruchu. Gdybyś tak ze mną poskakała i poradowała się życiem!”

A dzięcioł gderał: „Cały dzień ptak się męczy i wyciąga z pod twojej kory, niewdzięczna sosno, paskudne robactwo (tu oblizał się smakowicie). Trudzi się ptak straszliwie i nadaremnie (od tego trudu dobrze utył). I wszystkiego za mało jeszcze... Widocznie toczy cię mnóstwo niewidzialnych czerwi... Trzeba się poświęcić, niewdzięczna sosno, i wytępić je...” (tu oblizał się po raz drugi i kwiknął zwycięsko).

Zaś miękki mech, gdyby mu dana była mowa, rzekłby niechybnie:

„Giniesz w oczach, sosno wyniosła, boś zapatrzona w niebo, na którym są przemijające obłoki, a nie spojrzysz nigdy, wyniosła sosno, ku ziemi, na mnie, który trwam u stóp twego pnia wiernie“.

A siwy, brodaty porost rzekłby:

„Otulam miłośnię twe śmigłe gałęzie, a ty zdajesz się o tem nie wiedzieć, niemądra sosno! Gdzie tu szacunek dla mojej siwizny? Nie znajdziesz nikogo na ziemi, sosno niemądra, ktoby cię tak troskliwie chronił od zimnych wiatrów północy...“

Ona zaś może i była smutna, wyniosła, niewdzięczna i niemądra, ale przede wszystkim była zakochana.

*

Aż nadszedł wreszcie jej czas.

Wzrost lasu, to pęd drzew ku słońcu, to ich lot ku niebu. Nadeszła pora, gdy nasza sosna w pędzie tym wyprzedziła swoje zielonoskrzydłe rówieśnice. Wyniosła jej korona wzbila się ponad inne koro-

ny, śmigła jej strzała wystrzeliła podniebniej od innych strzał.

Sosna stała się teraz panią leśnego wzgórza. Nigdy może nie była tak piękna, ale też i nigdy nie pożałała tak bardzo złocistego swego kochanka i jego śmiertelnej pieszczoty...

*

Rozpalona upałem ziemia była od rana, jak w gorąccze. Duszne powietrze, pełne elektryczności, dygotało nieprzytomnie...

Pod wieczór odezwały się pierwsze pomruki nadciągającej burzy. Czarna noc okryła świat.

Sosna stała bezszelestnie, jak urzeczona, wpatrzona w gwiazdy. Całą zachodnią część nieba okrywał mrok. Dalekie błyskawice wstrząsały niem, jak ogniste dresszcze...

Burza czała się złowrogo, podobnie do drapieżnego zwierzęcia, czyhającego w zaroślach na zdobycz.

Aż najpierw przyleciał wicher. Dopadł drzew na wzgórzu i w jakimś napadzie

obłąkania poczał je szarpać, rwać, odzierać z gałęzi i wyc przytem, i ryczeć nieprzytomnie.

A potem lunął deszcz i niebo oszałało. Ziemia pogrążała się naprzemiany w mroku i światłości. Mrok był tem czarniejszy, że po jasności następował, a jasność tem bardziej oślepiająca, że zabłyaskała po nieprzeniknionym mroku.

Wówczas w jednym z takich przebłyków, w jednym z takich błyskawicowych lśnień, górny piorun, śpiący w czarnej chmurze, dojrzał po raz pierwszy sosnę, wybijałą na wzgórzu ponad inne sosny, i zapragnął jej całym płomiennym sercem gromu. I zawołał na nią grzmiącym głosem, od którego cały las oniemiał ze zgrozy.

Ona zaś zrozumiała, że miłość ta, to zagłada, więc cichym szelestem szeptać poczęła:

„Boję się... boję...”

I powiew wiatru, w szepcie tym zrodzony, uleciał ku niebu, uderzył wichurą w czarną chmurę i przepędził ją daleko w mroki bezgwiazdnej nocy...

*

Nazajutrz po burzy nastała pogoda piękna i rzeźwa. Powietrze czyste było, jak leśna woda, a niebo jesienne miało w sobie błękit kwiatów lnu.

Ani tego dnia, ani dni następnych nie zbierało się na burzę. I nie było widać chmur.

Chmury, w których kiedyś miały odezwać się pioruny, były teraz nagrzaną w słońcu, parującą wodą leśnych jezior. Zamiast błyskawic i grzmotów, pełne były kołysania się trzin i krzyku błotnego ptactwa.

Nigdy jeszcze sosna nie była taka błękitna i taka radosna. Budziła się co rano cała w deszczu zimnej rosy, jak we łzach szczęścia.

Dobre słońce otaczało ją jasnym błogostawieństwem swoich promieni. I w tem słońcu nawet uschnięte pęki igieł zdawały się złote i radosne.

Dokoła niej wszystkie drzewa na wzgórzu rozkochane były w słońcu, a ona była teraz tego słońca najbliżej. Więc pomyślała: — Jaka to promienna miłość jest — kochać promienie...

I zapominała wówczas o swoim dzie-
kiem marzeniu, gotowa pokochać ciszę
i pogodę.

Ale gdy w południe duszny upał za-
ciężył nad ziemią — zdejmowała ją taka
tęsknota do pioruna, którego miłości się
ulekła, iż rozkrzyżowawszy złoto-różowe,
pachnące żywicą ramiona swoich konarów,
powtarzała nieprzytomnym szelestem:

„Tęsknię za nim...”

Lecz i on za nią tęsknił.

*

Skoro drzewo ma paść pod uderze-
niem gromu, opuszcza je w popłochu wszel-
kie żywe stworzenie. Jakgdyby na szum-
nem czole wypisany miało wyrok śmierci.

Sosnę na wzgórzu opuściły pewnego
dnia i wiecznie wesoła wiewiórka, i poważ-
ny, pstry dzięcioł, i dzikie gołębie, które
wywiodły się w sosnowej dziupli.

Sosna zrozumiała, co to znaczy.

„Gdyby o mnie chodziło — została-
bym niezawodnie” — zacamokała wiewiór-
ka — „ale nie mogę być lekkomyślna:

muszę myśleć o moich dzieciach! I dlatego,
choć drzewo to lubię bardziej od innych
z powodu jego czaru (i smacznych szy-
szek) — przenoszę się gdzie indziej...”

I przeniosła się gdzie indziej.

„To nieroztropność szukać guza” —
kwiknął rozważny dzięcioł. — „Sosnie nic
nie pomogę, a sam stracę życie tak cenne
dla dobra całego lasu”.

Poczem odfrunął filozoficznie.

A dzikie gołębie nic nie mówiły, tyl-
ko zagruchały żałośnie i opuściły swoją
starą dziuplę w sosnowym pniu.

Taki lęk ogarniał wszystkich przed
piorunem, który miał przyjść.

*

Jakoż nie dał na siebie długo czekać.

Przyleciał nocą na czarnej chmurze,
jak potępieniec ognisty. I szukać jej począł
namiętnie w świetle błyskawic po całym
lesie.

Drzewa stawały w nagłym olśnieniu,
poczem waliły się pod jego uderzeniem
umarłe. Raził je straszliwie, niechybnie,

śmiertelnie. Odłupywał wiekowe konary,
jak zgruchotane ramiona. Druzgotał pnie.
Wyszarpywał z ziemi korzenie, jak jelita.

I tak zbliżał się ku wzgórzu, na którym
rosła sosna, straszny, ale piękny.

Wszystko to, co się stało potem, było
dziełem jednej chwili.

W nagłym olśnieniu błyskawicy runął
w jej rozpostarte ramiona. A ona stanęła
w płomieniach tej wielkiej miłości, rozświetlając
krwawą łuną mrok nocy.

LOS MAŁEJ BRZÓZKI

Nie była białą królowną, opiewaną przez poetów, ani strojną i uśmiechniętą panną młodą z wierszy Mickiewicza, ani „wieśniaczką, która płacze syna“ i która, łamiąc ręce, rozłacza „po ramionach do ziemi strumienie warkoczy“.

Była małą brzózka na rojście, zagubioną wśród innych drzew.

Jej żywot nie miał w sobie nic z tej wielkości, która przepełnia szumiące życie dębów, lip, topól i jaworów... Nie sięgała nieba i nie pragnęła go dosięgnąć.

Urodziła się na rudym „hałym“ mchu, na ziemi niegościnnej, przywiana niewiadomo skąd podmuchem chłodnego wiatru. Wśród kęp bagna i pijanic minęło jej dzieciństwo, owiane dusznym zapachem nagrzanych w słońcu porostów i bladego mchu.

Co wiosna stawała w łunie młodych listków, podobnych do małych, zielonych iskier. I to była jej radość wiosenna.

Gdy noc majowa uśpiła świat i księżyc zalewał rojsty swoim płynnym srebrem, świetlisty mszar poczynął bulgotać od namiętnej nocnej pieśni cietrzewiej... Przed świtem rodził się na dalekich uroczyskach hejnał żorawi i napełniał śpiący mszar melodyjną wrzawą... A potem budzić się poczynwały na „mchu“ głosy poranku: djabelski, niesamowity krzyk tokowy pardw i podobłoczne bębnienie bekasów. A pieśń cietrzewia, gorąca i niemilknąca, o wschodzie na jedno mgnienie oka przerwana, przelewała się dokoła wszędzie, jakgdyby śpiewało ją całe powietrze, cała ziemia, cały świat...

Brzołka, uwieńczona obłokiem płomiennie zielonych listków, budziła się co rano na mglistym rojście, w blaskach zimnego i bezpromiennego słońca, okryta białym szronem.

Ale wkrótce uśmiechnięty ranek zamieniał ów mroźny szron w żywe diamen-

ty, w kolorowe krople porannej rosy. Były to świetliste łzy wiosny.

*

Jesienią liście jej przybierały barwę bladego złota. Lecz wkrótce zimno i wiatr otrząsały z gałązek brzołki to złoto świetliste i na szarych różgach, na szarych smutnych różgach rano i wieczór jaśniały krople chłodnej rosy, podobne do łez. Były to smutne łzy jesieni.

*

Śnieg brutalną mocą przyginał jej wierzchołek ku ziemi. Pochylała się ulegle, bezradnie, jak biały napięty łuk i trwała tak całą zimę, wmarznięta wątlym czubem w białe zaspy.

Dopiero nowa wiosna, która szła puszczą, budząc do życia kwiaty leśne i zakute lodem strumienie, czarodziejskim swoim dotknięciem czyniła cud: ze zgiętego, białego łuku małe drzewko biło w niebo jasną strzałą... Biło wgórę strzałą świetlistą. Stawało nagle w lodowych perlach

i diamentach. A w każdej z tych pereł, w każdym z tych kryształów i klejnotów przeglądało się słońce. I z zapłakanych radośnie brzozowych witek, z różowych witek, kropla po kropli padał tający śnieg, jak szczęśliwe łzy odchodzącej zimy...

*

Gdyby była wielką brzozą o atłasowym pniu białości marmurów, królowałaby zapewne tym przemglonym ziemiom, tym „mchom“ niegościnnym, smutnym, ale pięknym.

Gdyby miała w sobie bujną radość panny młodej, jaśniałaby może tą radością uśmiechniętą w płaszczu lepkich listeczków wiosennych, podobnych do zielonych płomyków. I radość od niej szłaby na cały rojst...

Gdyby przypominała ową „wieśniaczkę, która płacze syna“, załamywałaby ręce i głosiła szumem bolesnym i bezradnem opuszczeniem gałęzi swą rozpacz i swój ból ogromny.

Lecz ona nie miała ogromnych bólów, ani ogromnych radości. Nie miała w sobie

nic wielkiego. Była tylko małą brzożką na rojście, wątłą i słabą drzewiną, igraszką wiatru wśród bezkresnej dziczy bladego mszaru.

Nie lękała się burz, ani piorunów, które zabijały olbrzymy drzewne. Nie bała się złej, zjadliwej wichury, szalejącej po leśnych uroczyskach, ani ulewy... Nie przejmowała jej trwogą nawet siekiera drwala, której głos wieścił drzewom śmierć...

I zbyt była bliska ziemi, aby ją przerażał śnieg, który jej wiotki wierzchołek ku tej ziemi swoim ciężarem pochylał...

*

Jej przygody? Nie miała, nie mogła mieć żadnych przygód, gdyż płowy mech daleki był od świata i zagubiony na zawsze za mgłami.

Nawet słońce rzadko tu docierało, mając inne, radośniejsze krainy. Nawet księżyc niechętnie się włóczył po nocach, lekając się zapewne zdradliwych topieli...

Tylko błędne ogniki, złe oczy nocy, tańczyły o zmroku na bagnie. I mogłyby

zwodzić i wieść ku niebezpiecznym przepaściom zabłąkanych na rojście wędrowców, gdyby na rojście był jakikolwiek wędrowiec... Ale go nie było.

Czasem myśliwy jedynie zapędził się w te strony za stadkiem ciecieruków lub pardw, lecz zapadłszy się parę razy po kolana, skłął niegościnną ziemię i odchodził zły i gniewny tam, skąd przyszedł.

Zimą na śnieżnej, bezkresnej równinie wyły żałośnie wichry i wilki...

*

I tak rok po roku mijał, drzewa dalekiego boru wznosiły się ku niebu coraz wyżej — jedynie brzoźka na rojście — mimo lat — zawsze była równie mała i równie wątła.

Dolatał aż ku niej potężny powiew dzikich puszczy, — powiew sosny i brzozy. W szumie tych leśnych drzew była moc i wielkość.

Lecz wielkość kryje w sobie ziarno zagłady: olbrzymy leśne padały tam wdali na ziemię z żalosnym jękiem i bolesnym szumem, zrąbane chciwą siekierą, czy to-

porem. A jej — małej — nic nie groziło... I minął las, a ona trwała...

*

Miała czasem jasne chwile. Raz siadł na jej wierzchołku z grzmiącym łopotem skrzydeł czarnopióry trubadur mszaru, czerwobrewy kogut cietrzewi i począł śpiewać gorącą, namiętą pieśń ku chwale słońca. Był świt. Mszarne rojsty, zalane wstającą z ziemi mgłą, milczały jak zaczarowane. I tylko ta jedna pieśń — w tej ciszy. Pieśń śpiewana na niej, na małej brzoźce.

Melodja rytmiczna, szklana, płynęła dokoła daleko nieprzerwaną falą... We mgle białego tumanu cały świat zdawał się widmowy...

Spowite mgłą kępy bagna i pijanice roztapiały się w mlecznym obłoku, podobne do sennych zjawisk. I ona, mała, wydawała się wielką brzozą — woddali.

Jakby wywołany pieśnią cietrzewią — pierwszy złoty pocisk słońca przedarł się przez opary, które poczęły kłębić się, drzeć i wznosić ku górze...

Wówczas słońce ukazało się na przemglonym jeszcze widnokręgu, zwycięskie, podobne do olbrzymiego czerwonego księżyca... Przebudził je ze snu czarny kogut, który śpiewał na brzoźce wśród mszaru. To był jej najpiękniejszy dzień.

*

Smutne chwile jesiennych niepogód znosiła bez szemrania... Szemrała tylko, gdy wiatr zbyt chłodną pieśczętą otrząsał z niej złoty liść... Lecz bezgłośnie cierpiała, kiedy wiatr milczał, a beznadziejna szarość unosiła się nad owianem mgłą uroczyskiem.

Czekała ją w życiu jedna tylko godzina, która każde z drzew i drzewek, choćby najmniejszych, owiewa tchnieniem wielkości: godzina śmierci.

I o ile drzewo zdolne jest śnić — śniła czasem w milczeniu mszaru — o tej godzinie ostatniej, gdy padnie rażona piorunem, złamana burzą, zdeptana przez los — ale w upadku swoim i w cierpieniu, i w poniżeniu wielka!

Ale los po życiu pełnem małych radości i smutków gotował jej śmierć równie małą i bardzo smutną...

Ongi nasienie jej przywiał chłodny powiem wiatru, niewiadomo skąd i niewiadomo dlaczego. I to były jej narodziny.

Teraz zaś obcy przechodzień, pewnego wiosennego wieczora niewiadomo skąd przybyły, niewiadomo dlaczego zjawił się na „mchu“ i łamać począł powoli siostry jej, małe brzoźki... Przygiął i ją, nadepnął twarzym butem, złamał.

I wziął pęk pomordowanych drzewin i zbudował z nich zieloną budkę wśród rojstu. Umarłe brzoźki stanęły kołem, jedna obok drugiej, wsparte o siebie wędnącemi czubami, zaryte białemi pieńkami w wilgotną ziemię...

Przed świtem przyszedł na rojst inny człowiek: miał w ręku strzelbę... Gwiazdy blednąc poczęły na wiosennem niebie i wszystkie głosy poranku odezwały się wśród mszaru...

Stary cietrzew-tokowik nadleciał pierwszy z szumem i łopotem skrzydeł, zapadł

na mszar tuż koło brzozowej budki i począł śpiewać...

Lekki powiew wiatorku niósł z sennego jeszcze rojstu woń wodorostów i bagna... Rozmarzył się myśliwy i zapatrzył w mrok... Coraz to nowe łopoty zwiastowały przyłot czarnych zawodników, które przed budką ukrytego strzelca pragnęły dziś stoczyć bój rycerski o miłość złotopiórej cieciorki...

Roznamiętnił się myśliwy i począł myśleć o strzale... A wtem nasza mała brzózka, nasza umierająca brzózka, popchnięta jakimś silniejszym podmuchem wiatru, osunęła się na ziemię szumnie i rozgłośnie...

Porwały się w mroku cietrzewie i uleciały ku bezpieczniejszym tokowiskom. Zaklął myśliwy w budce... Polowanie było skończone.

A mała drzewina nie wiedziała, leżąc bezwładnie na rośnej ziemi, że upadkiem swoim ostatnim ocaliła życie czarnego śpiewaka o purpurowych brwiach, który kiedyś, siadłszy na jej wierzchołku, pieśnią swoją przebudził słońce...

LEGENDA O OSINIE

Nie zadrżała jedna
tylko osiczyna — więc
uczynili z niej Krzyż i przy-
bili na nim Chrystusa.

H. Sienkiewicz.

A kiedy źli ludzie szukali onego czasu
drzewa na Krzyż i Mękę Pańską, cały las
ogarnął lęk i przerażenie... Oni zaś chodzili
po puszczy i namyślali się długo, gdzie
śmiertelnie uderzyć toporem...

Dotarli wreszcie w sercu kniei do od-
wiecznego dębu, który tysiąc lat opierał się
burzom i huraganom. Stał teraz w złotej
mgłę budzących się do wiosennego życia
liści. I drzeć począł, jak wątła trawka na
wietrze, i zaszumiał błagalnie, prosząc o coś
pierwszy raz od tysiąca lat: „Nie bierzcie
mnie na ten Krzyż! Czyż może drzewo
wiekuiste być męką dla Tego, który jest
Wieczną Prawdą?”

Więc poszli do lipy rozrosłej, ale i ta
dygotała i szemrała w trwodze: „Słodka
jestem, najśłodsza z drzew! Zakochanym
daję cień, pszczołom miód, a śpiewającym

ptakom schronienie. Nie mnie brać na ten Krzyż, nie mnie plamić Krwią Tego, który głosił miłość na ziemi“.

I weszli źli ludzie w brzozowy gaj. Dziewczęce, białopienne brzozy stały w zielonych płomieniach młodych listeczków, jakby osypane świetlistym deszczem gwiazd... A widząc tę ich dziewiczą czystość i niepokalaną wiosenną, nawet źli ludzie nie śmieli na nie podnieść topora, by z białych pni wyciosać Krzyż dla Tego, który był światu symbolem czystości...

I podeszli złoczyńcy ku olchom. Przesłaniała je lekko przezroczysta, zielona mgławica pączków. Poprzez tę mgławicę widać było, jak rozmodlone ramiona ich gałęzi pobożnie wznosiły się ku niebu.

„Zostawcie nas w pokoju — zaszmiały olchy. — Ku Bogu wznosimy nasze gałęzie. Nie kalajcie nas serdeczną Krwią Syna Bożego...”

Więc ludzie szukali sosen. I znaleźli je. Na kolumnie brązowych pni wznosiły w górę kopułę swoich wieczyście zielonych koron.

Pod nimi rozpościerał się kobierzec rdzawego zeszłorocznego wrzosu, koloru zakrzepłej krwi... Sosny po deszczu osypały się gradem szklanych pereł: jakgdyby stały w brylantowych łzach.

I powiedziały przez te łzy złym ludziom: „Nie my, wieczyście zielone, będziemy Krzyżem dla Tego, który był Nadszaniej Ziemi“.

Błąkający się po puszczy trafili na jesion. Lecz jesion zatrzęsł się ze zgrozy: „Na drzewca kopij rycerskich, na drzewca chorągwi bojowych biorą mię, walka jest moim żywiołem — ale nie zbrodnia!“

Chodzili tedy po lasach ludzie źli, a żadne z drzew nie chciało być drzewem Męki Pańskiej.

Zbliżał się wieczór. Gdzieś daleko kukała kukulka. Zapachniały niewidzialne konwalje. Zakłaskały słowiki w gęstwinie. Zaśpiewał drozd. Księżyc stawał się coraz bardziej złoty.

Więc nawrócili ku domowi. I napotkali, idąc tam, jedno drzewo, które na ich widok nie zadrżało ze zgrozy...

Była to osina. I zrabali ją, i uczynili z niej Krzyż. I ukrzyżowali na nim Zbawiciela Świata...

A odkąd Krew najświętsza zbryzgała drzewo Krzyża, wszystkie osiny dygocą, choć w lesie cisza jest i wiatr milczy... Trzęsą się z lęku i żalu, i ze wstydu... A gdy nadejdzie jesień, liście osiny robią się koloru krwi, na wieczną pamiątkę tej Krwi, która spłynęła na drzewo Krzyża w ów straszny dzień.

*

Aż przyjdzie dzień sądu dla wszystkich drzew.

I zadygoce Osina i zapłacze: „Drżałam za mój grzech wieki całe i całe wieki jesienią spływałam serdeczną krwią. Czyż nie skończy się nigdy moja pokuta?”

I odpowie jej Pan: „Zaprawdę, powiadam ci, uspokój się i nie drzyj. Albowiem drzewo twoje stało się dziś dla świata symbolem zbawienia. I to, co było czynem nienawiści — miłość dziś głosił!”

SPIS RZECZY.

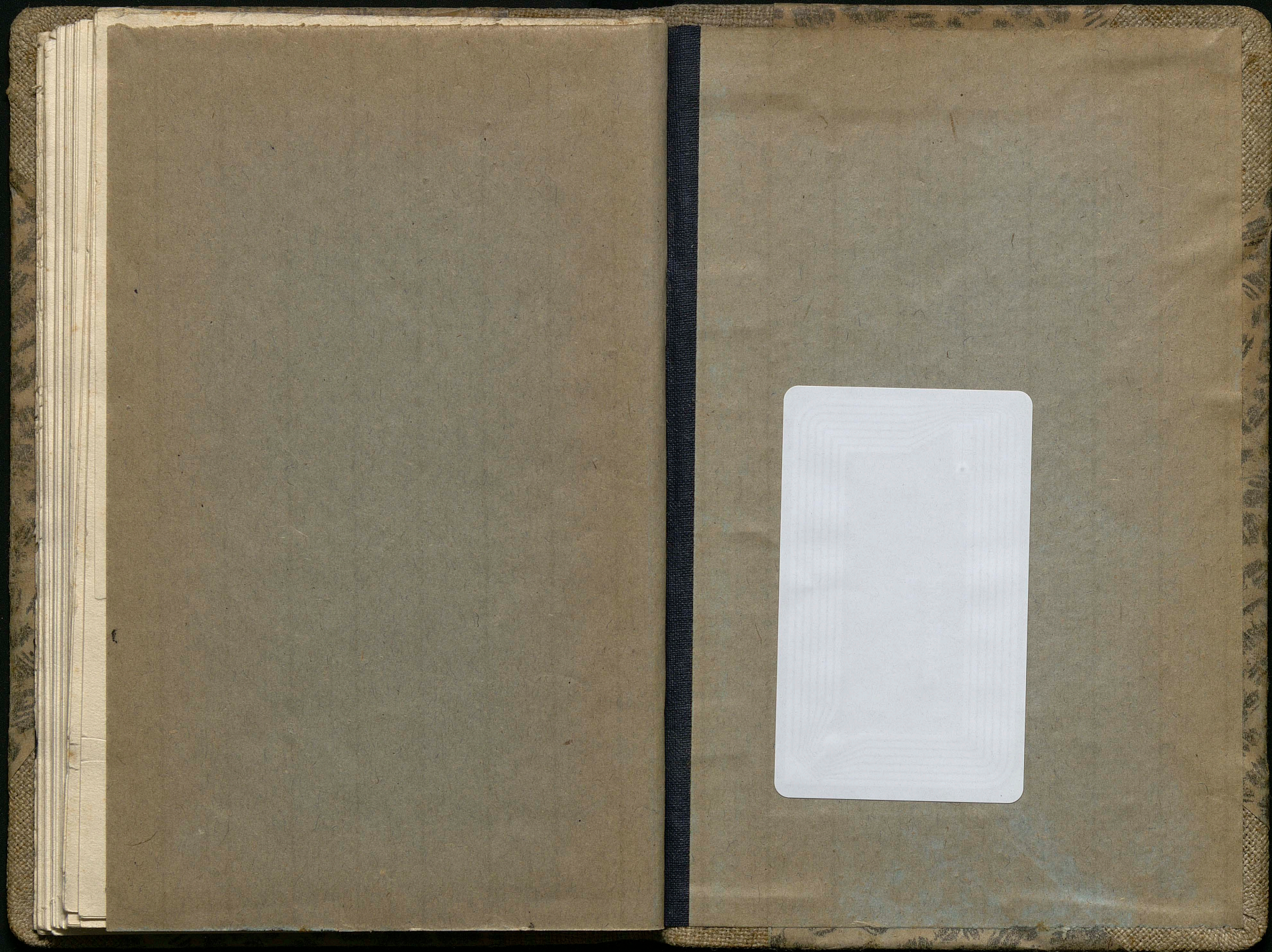
	Str
Dzieje dębu	5
Tajemnica lipy	13
Śmierć choinki	27
„Pod umówionym jaworem...”	39
Wierzby płaczące	53
Sosna na wzgórzu	63
Los małej brzoźki	75
Legenda o osinie	87



...moj grzech wieki całe i całe wieki je-
sienią spływałam serdeczną krwią. Czyż
nie skończy się nigdy moja pokuta?"

I odpowie jej Pan: „Zaprawdę, powia-
dam ci, uspokój się i nie drżj. Albowiem
drzewo twoje stało się dziś dla świata sym-
bolem zbawienia. I to, co było czynem
nienawiści — miłość dziś głosi!"





11940